

Desmond Bagley



**Przerwany
lot**

Tytuł oryginału: *Flayaway*

Copyright © Brockhurst Productions 1978
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-60-4

Arie Books Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB,
Espadon Publishing Sp. z o.o. oraz Arie Books Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Desmond Bagley

Przerwany lot

Przekład: Andrzej Gostomski

A R I E B O O K S
W A R S Z A W A 2 0 2 1

Dla Lecji i Petera Fostonów

Peter i Paul siedzą na murze;
Dwa małe wróbelki, ptaszyny nieduże.
Z łopotem skrzydełek odleciały w górę.
Wróćcie me wróbelki, skończcie swe podróże.

Żaden człowiek nie może żyć na pustyni i wrócić z niej niezmieniony. Będzie już w sobie nosił, choćby słaby, ślad pustyni – piętno którym naznaczeni są nomadowie.

Wilfred Thesiger

1

Żyjemy w epoce natychmiastowego zaspokajania potrzeb. Sprytni chemicy wynaleźli błyskawicznie rozpuszczającą się kawę. Demonstrujący studenci krzyczą infantylnymi głosami: „Chcemy świata, chcemy go już”. Staffordowie natomiast wymyślili błyskawiczną, płomienną awanturę, gwałtowną kłótnię bez początku ani przyczyny.

Nasze małżeństwo rozpadało się i oboje o tym wiedzieliśmy. Temperatura wywołana tarciami szybko stawała się nie do zniesienia. Kiedy w ów poniedziałkowy rano delikatnie zapytałem Glorię o jej poczynania w czasie minionego weekendu, zostało to niesłusznie zinterpretowane jako wścibskie mieszanie się do jej spraw osobistych. Po nitce do kłębka i efekt był taki, że do biura przybyłem raczej wyprowadzony z równowagi.

Joyce Godwin, moja sekretarka, uniosła głowę, gdy wszedłem i pogodnie powiedziała: – Dzień dobry, panie Stafford.

– Dobry – odparłem szorstko i zatrzasnąłem drzwi swojego gabinetu.

Znalazłszy się wewnątrz, poczułem się nieco zawstydzony. Kiepski to szef, który wyładowuje swoje humory na personel, a Joyce na to nie zasłużyła.

Nacisnąłem przycisk interkomu.

– Czy można cię prosić, Joyce?

Weszła uzbrojona w broń sekretarki – blok do stenografowania i zaostrzony ołówek.

– Przepraszam, nie czuję się dziś najlepiej – powiedziałem. Jej usta wykrzywił słaby uśmiech.

– Kac?

– Coś w tym rodzaju – zgodziłem się. Siedmioletni kac. – Co jest dziś rano na tapecie?

– Pan Malleson chce się z panem zobaczyć w sprawie popołudniowego zebrania zarządu.

Skinąłem głową. Doroczne zebranie rady nadzorczej Stafford Security Consultants Ltd. stanowiło prawną formalność. Trzech mężczyzn siedzących w biurowcu w City i dzielących między siebie zyski. Finansowy żart.

– Coś jeszcze?

– Dzwonił pan Hoyland. Chce z panem rozmawiać.

– Hoyland? Kto to jest?

– Główny agent ochrony w Franklin Engineering w Luton.

Był taki czas, że znałem każdego pracownika po imieniu. Teraz nie mogłem zapamiętać nazwisk personelu terenowego. Zły objaw, powinienem o tym pomyśleć w wolnej chwili.

– Dlaczego ze mną?

– Szukał pana Ellisa, ale on jest aż do środy w Manchesterze, a pan Daniels jest wciąż nieobecny z powodu grypy.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– A więc załapałem się jako trzeci gatunek. Czy chodziło o coś ważnego?

Wyraz twarzy Joyce powiedział mi, że według niej kac dokuczał mi coraz bardziej. Główny agent ochrony sam powinien sobie radzić z robotą, a jeśli dzwoni do szefa, to lepiej, żeby sprawa dotyczyła czegoś rzeczywiście ważnego.

– Powiedział, że jeszcze zadzwoni – odparła oschle.

– Coś jeszcze?

Bez słowa wskazała na stertę korespondencji. Spojrzałem na nią z niesmakiem.

– Jesteś poganiaczem niewolników. Gdyby dzwonił Hoyland, to jestem w biurze pana Mallesona.

– Ale pan Fergus chce, żeby dzisiaj podpisano kontrakt z Electronomics – jęknęła.

– Pan Fergus jest starym marudą – odparłem. – Chcę o tym kontrakcie porozmawiać z panem Mallesonem. Electronomics nic się nie stanie, jeśli poczeka jeszcze pół godziny. – Wziąłem akta Electronomics i wyszedłem, czując pełne dezaprobaty spojrzenie Joyce wwiercające mi się w plecy.

Charlie Malleson miał najwyraźniej więcej zapału do pracy niż ja, przejrzał już połowę swojej porannej poczty. Przysiadłem na skraju jego biurka i rzuciłem mu akta pod nos

– Nie podoba mi się to.

Podniósł wzrok i westchnął.

– O co ci chodzi, Max?

– Chcą mieć psy spuszczone bez opieki. To wbrew przepisom.

Uniósł brwi.

– Nie zwróciłem na to uwagi.

– Fergus też, a powinien. Wiesz co o tym myślę. Możesz wokół fabryki wybudować fortyfikacje jak mur berliński, a nocą jakiś sprytny dzieciak wejdzie dla draki do środka. Wtedy natknie się na puszczonego samopas psa i zostanie pogryziony lub zagryziony. – Charlie otworzył akta. – Zobacz punkt 28.

Sprawdził.

– Tego nie było w kontrakcie, który przeglądałem. Zapewne zostało dodane w ostatniej chwili.

– Więc niech szybko zostanie odjęte, albo Electronomics może załatwiać interes z kim innym. Chciałeś się ze mną widzieć w sprawie posiedzenia zarządu?

– Jego Lordowska Mość będzie w domu dziś o szesnastej.

Odnosiło się to do lorda Brintona, właściciela dwudziestu pięciu procent Stafford Security Consultants Ltd. Wstałem, podszedłem do okna i spojrzałem na legowisko Brintona – wieżę Intern-City Building. Z nadbudówki na dachu miał widok na City, gdzie pojawiał się od czasu do czasu, aby pożreć jakąś firmę, a czasami zaaranżować korzystną fuzję.

– Szesnasta mi odpowiada. Powiem Joyce. Czy wszystko jest w porządku?

– W idealnym. – Charlie rzucił mi taksujące spojrzenie. – Nie wyglądasz zbyt dobrze. Czy nie łapie cię grypa?

– Coś w tym stylu. Podano mi dziś nazwisko człowieka, a ja nawet nie wiedziałem, że dla nas pracuje. Niedobrze.

Uśmiechnął się.

– Ten interes zaczyna nas obu przerastać. Kara za sukces.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Na osiem godzin pracy, siedem spędzam przykuty do tego przekłętogo biurka. Czasami chciałbym, byśmy znów wrócili do starych złych czasów, kiedy sami musieliśmy za wszystkim chodzić. Teraz grzebię się tylko w jakichś cholernych papierzyskach.

– Ale wiele z nich to świeże, szeleszczące piątki. – Obszernym gestem wskazał majestatyczny widok londyńskiego City. – Nie dziw się sukcesowi w tym uświęconym miejscu, to niemoralne. – Zadzwoił telefon, odebrał go i po chwili wręczył mi słuchawkę.

To była Joyce.

– Pan Hoyland chce z panem mówić.

– Przełącz go. – Zakryłem słuchawkę i powiedziałem do Charliego:

– Mógłbyś tego posłuchać. Już czas, byście w administracji wiedzieli, co dzieje się na pierwszej linii.

W słuchawce zachrobotąło.

– Pan Stafford?

– Mówi Max Stafford.

– Tu Hoyland z...

– Wiem kim pan jest, panie Hoyland – powiedziałem, czując się jak oszust. – Co pana trapi?

– Natknąłem się na coś dziwnego, sir. Tydzień temu zniknął człowiek nazwiskiem Billson i nie bardzo wiem, co z tym począć.

– Na ile ważny jest Billson?

– Nie zajmuje się stroną techniczną, pracuje w księgowości. Ale...

– Sprawdził pan księgi?

– Zbilansowane co do pensa – powiedział Hoyland. – Nie w tym rzecz, sir. Chodzi o stanowisko spółki. Nie otrzymuję z ich strony kompletnie żadnej pomocy.

– Proszę to rozwinąć.

– Billson nie jest zbyt rozbawiony, a płacą mu o wiele więcej niż jest wart. Dostaje 8000 funtów rocznie, a wykonuje pracę chłopca na posyłki. Kiedy spytałem Isaacsona dlaczego, otrzymałem strasznie mętną odpowiedź. Powiedział, że struktura płac nie jest sprawą ochrony.

Hoyland był poirytowany i miał słuszną rację. Sam się zirykowałem, bo kiedy podpisywaliśmy kontrakt, zostało zastrzeżone, że ochrona zajmuje się wszystkim.

– Naprawdę tak powiedział? Kim jest Isaacson

– Głównym księgowym – odparł Hoyland. – Czy może pan przywołać do porządku tego mądralę? Mną się specjalnie nie przejmuję.

– Już ja go podkreję – odparłem ponuro. – Wróćmy jednak do Billsona. Co miał pan na myśli, mówiąc, że zniknął?

– Nie pokazał się w ubiegłym tygodniu i nie przesłał żadnej wiadomości. Kiedy przeprowadziliśmy wywiad, okazało się, że bez żadnego wyjaśnienia opuścił mieszkanie. – Hoyland zamilkł. – To jeszcze nie jest przestępstwo, panie Stafford.

– O ile nie zabrał czegoś ze sobą. Mówi pan, że nie jest dla nas istotny?

– Stanowczo nie. Przez piętnaście lat był przywiązany do działu księgowości. Nie miał dostępu do czegokolwiek mającego znaczenie.

– A przynajmniej my nic o tym nie wiemy. – Zastanawiałem się nad tym przez kilka chwil. – W porządku, panie Hoyland, pogadam z Isaacsonem. W międzyczasie proszę sprawdzić przeszłość Billsona. Nigdy nie wiadomo, na co się człowiek może natknąć.

– Zrobione, panie Stafford. – Hoylandowi wyraźnie ulżyło. Osobiście wolał nie wdawać się w pogawędkę z kierownictwem.

Odłożyłem słuchawkę i posłałem Charliemu szeroki uśmiech.

– Widzisz o co mi chodzi. Jak byś załatwił taką sprawę?

– Franklin Engineering – powiedział w zamyśleniu. – Są kontrahentami Ministerstwa Obrony, prawda?

– Robią co nieco dla wojska. Układy zawieszenia do czołgów, nic poważnego.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– Temu dowcipnisiowi, Isaacsonowi, pogonię trochę kota. Żaden groszorb nie będzie mówił moim agentom, co dotyczy ochrony, a co nie.

Charlie odchylił się w tył na swoim krześle i przyglądał mi się z namysłem.

– Czemu nie zrobisz tego osobiście? Twarzą w twarz. Uskarżasz się, że jesteś przykuty do biurka, czemu więc nie skoczysz do Luton i nie połączysz trochę? Spokojnie zdążysz wrócić na zebranie zarządu. Wynoś się z biura, Max, może to zdejmie ci z twarzy ten zgorzkniały wyraz.

– Czy jest aż tak źle? – Niemniej pomysł był atrakcyjny. – W porządku, Charlie, do diabła z biurkiem! – Zadzwoń do Joyce. – Połącz się z Hoylandem we Franklin Engineering, powiedz mu, że jestem w drodze do Luton i żeby był pod ręką. – Uciąłem jęk protestu, który wyrwał się z jej ust. – Tak, wiem w jakim stanie jest taca z korespondencją, zrobi się to jutro.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Charlie powiedział:

– Nie wydaje mi się, aby to było coś ważnego.

– Też tak uważam. Facetowi albo pomieszało się w głowie, albo przejechał go samochód, czy coś w tym rodzaju. Nie, Charlie, to są całodzienne wakacje, koszty pokrywa firma.

2

Powinienem pamiętać nazwisko Hoylanda, bo kiedy go ujrzałem, przypomniałem sobie jego kompetentną, poważną twarz. Jak wielu naszych agentów ochrony był ex-policjantem, człowiekiem, do którego można mieć zaufanie. Mój widok zaskoczył go, nieczęsto zdarzało się bowiem, aby ktoś z „góry” Stafford Security zjawiał się na pierwszej linii. A szkoda.

Prócz zaskoczenia wyczuwało się w nim zdenerwowanie, gdy próbował wybać dlaczego fatygowałem się osobiście.

– Nie ma się czym przejmować – uspokoiłem go. – Z przyjemnością oderwałem się od biurka. Niech mi pan opowie o tym Billsonie.

Hoyland potarł dłońią policzek.

– Niewiele o nim wiem. Wie pan, jestem tu dopiero od trzech miesięcy. Przeniesiono mnie, kiedy Laird przeszedł na emeryturę.

Nie miałem o tym pojęcia. Do licha, nie wiedziałem o zbyt wielu sprawach związanych z własną firmą. Stała się zbyt wielka i bezosobowa.

– No i? – powiedziałem.

– Przejąłem akta Lairda i sprawdziłem jak zakwalifikowano Billsona. Został uznany za całkowicie nieszkodliwego. Znajdował się na szarym końcu moich zainteresowań.

– Ale sprawdził go pan ponownie, kiedy okazało się, że zniknął?

Skinął głową.

– Ma czterdzieści cztery lata, tutaj pracował piętnaście. Osobowość wykastrowanego królika. Wynajmuje mieszkanie u jakiejś wdowy Harrison.

- Może łączy ich coś więcej?
- Hoyland uśmiechnął się promiennie.
- Ona ma siedemdziesiąt lat
- To jeszcze nic nie znaczyło. Ninon de L'Enclos była dziwką mając osiemdziesiąt lat.
- Miał jakieś dziewczyny?
- Nie Billson. Z tego co słyszałem dziewczyny nie leciały na niego.
- No dobra, a chłopcy?
- Też nie. To nie ten typ.
- Nie wydaje się być jakimkolwiek typem – zauważyłem zjadliwie.
- Fakt – odparł Hoyland. – Jest tak niepozorny, że ledwie istnieje. Można przejść obok i nawet go nie zauważyć.
- Istny niewidzialny człowiek – skomentowałem. – Ma wszelkie kwalifikacje na tajniaka.
- Czy piętnaście lat na jednym stanowisku to nie za długo? – zapytał Hoyland. – Poza tym wszystko zostawił w najlepszym porządku.
- Z tego co nam dotychczas wiadomo. Czy chłopcy z kontrwywiadu wiedzą o tym?
- Węszyli tutaj, ale doszli do takich samych wniosków jak ja.
- Tak – powiedziałem. – Najprawdopodobniej Billson leży bez świadomości w jakimś szpitalu. Tkwi w tym jednak jakaś tajemnica. Dlaczego otrzymywał zbyt wysokie zarobki i dlaczego zarząd tak skąpi informacji na ten temat?
- Hoyland skinął głową.
- Najpierw rozmawiałem o tym ze Stewartem, jego bezpośrednim szefem, ten odesłał mnie do Isaacsona, a od niego nic nie wyciągnąłem.
- Zobaczę, co mogę zrobić – powiedziałem i udałem się na poszukiwanie Stewarta. Okazał się rudowłosym Szkotem, jednym z tych księgowych nowej generacji, dla których nic nie znaczą zakurzone rejestry, istotne są natomiast cyferki tańczące we wnętrzu komputera.
- Nie, nie miał pojęcia dokąd Billson mógł się udać. Właściwie nic o Billsonie nie wie i kropka.
- Czy nie jest to dziwne jak na szefa działu? Z pewnością wie pan co nieco o swoich podwładnych.
- To bardzo dziwny człowiek – odparł Stewart. – Zazwyczaj pełen rezerwy, czasami zdolny jednak do niepohamowanych wybuchów. Niekiedy trudno z nim dojść do ładu. – Wzruszył ramionami. – Awanturuje się o niesprawiedliwe traktowanie ludzi, niedocenianie ich osiągnięć. Jest przy tym bardzo zgorzkniały.
- Ma na myśli siebie?

– Nie, zawsze chodziło o innych, których represjonowano lub oszukano.

– Mą to jakieś podłoże polityczne

– Skądże – stanowczo zaprzeczył Stewart. – Polityka zupełnie go nie obchodzi.

– Czy dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków

Stewart obdarzył mnie znużonym spojrzeniem i ze zbytnią ostrożnością powiedział:

– Nasze polecenia wykonywał w sposób zadowolający.

– Czy określiliby go pan jako karierowicza? – Uśmiechnąłem się. – Może szykował mu się awans, czy coś w tym rodzaju

– Nic z tych rzeczy. – W tym momencie Stewart zorientował się, że powiedział to zbyt szybko i zdecydowanie. – Brakowało mu dynamiki.

– Od jak dawna pracuje pan w firmie, panie Stewart

– Od czterech lat. Ściągnięto mnie z Glasgow, kiedy biuro zostało skomputeryzowane.

– Czy w tym czasie występował pan może o zwolnienie Billsona, lub przeniesienie go do innego działu?

Stewart drgnął.

– Ja... no... tak, proponowałem coś takiego, zdecydowano jednak, by go zatrzymać.

– Zakładam, że decyzję tę podjął pan Isaacson.

– Tak. Będzie pan musiał jego o to zapytać. – Odetchnął z wyraźną ulgą.

Tak też zrobiłem. Isaacson okazał się bardziej wyrafinowanym typem księgowego. Stewart wiedział jak sprawić, by cyferki skakały przez przeszkody, zaś Isaacson wybierał przeszkody, przez które miały skakać. Był ekspertem prawnym spółki, szczególnie w sprawach dotyczących opodatkowania.

– Billson! – powiedział z uśmiechem. – W języku jidisz jest słowo świetnie charakteryzujące ludzi jego pokroju. *Nebbish*.

– Co to znaczy

– To ktoś mniej niż nic nie znaczący. Mówiąc obrazowo: jeśli jakiś człowiek wychodzi z pokoju, a ma się wrażenie, jakby ktoś właśnie wszedł, to taka osoba jest *nebbish*.

Rozsiadłem się wygodniej na krześle i spojrzałem uważnie na Isaacsona.

– A więc mamy tu *nebbisha*, który wyciąga 8000 funtów rocznie za pracę wartą najwyżej 2000. Czym pan to wytłumaczy

– Wcale nie muszę – odparł lekko. – Może pan o tym pomówić z naszym dyrektorem, panem Graysonem.

– A gdzie mogę znaleźć pana Graysona
– Przykro mi, ale to będzie chyba trudne – odpowiedział bez odrobiny żalu w głosie. – Jest w Szwajcarii, na nartach.

Sprawił wrażenie tak cholernie zadowolonego z siebie, że najchętniej bym mu przyłożył. Opanowałem się jednak i wycedziłem przez zęby:

– Panie Isaacson, moja firma ponosi wyłączną odpowiedzialność za bezpieczeństwo Franklin Engineering. Zniknął tu człowiek i ten brak współpracy z waszej strony wydaje mi się bardzo dziwny. Czy nie uważa pan, że jest to bardzo osobliwe?

Bezradnie rozłożył ręce.

– Powtarzam, panie Stafford, że wszelkich wyjaśnień dotyczących osoby pana Billsona może udzielić wyłącznie dyrektor.

– Który właśnie zjeżdża z górki na parze desek. – Nasze spojrzenia skrzyżowały się. – Stewart chciał zwolnić Billsona, jednak pan się temu sprzeciwił. Dlaczego?

– Nie ja, tylko pan Grayson. Stwierdził, że Billson musi zostać.

– Z pewnością spytał go pan o powody.

– Oczywiście. – Isaacson pokręcił głową. – Nie podał żadnych. – Zamilkł na chwilę. – Panie Stafford, zupełnie nic nie wiem o Billsonie, poza tym, że był powiedzmy... protegowany.

Zastanowiłem się. Dlaczego Grayson miałby traktować Billsona jak dobrego wujaszka?

– Czy wiedział pan, że Billson był protegowany, wtedy gdy Stewart chciał go zwolnić?

– O tak – smutno uśmiechnął się Isaacson. – Sam chciałem go zwolnić dziesięć lat temu. Kiedy Stewart wysunął tę propozycję, pomyślałem, że jeszcze raz spróbuję u pana Graysona. Niestety, sytuacja nie uległa zmianie.

– Chyba poruszę tę sprawę na wyższym szczeblu, może z waszym prezesem zarządu.

– Jak pan sobie życzy – chłodno rzucił Isaacson. Zdecydowałem się jeszcze bardziej obniżyć temperaturę.

– I jeszcze jedna sprawa, panie Isaacson. Kiedy pan Hoyland zwraca się do pana po informacje, proszę nie mówić, powtarzam: nie mówić mu, że informacje, których żąda nie są związane z ochroną. Przekazuje mu pan wszelkie posiadane informacje, tak jak mnie. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno

– Nad wyraz. – Usta Isaacsona zacisnęły się w wąską kreskę.

– Bardzo dobrze. Udostępni pan Hoylandowi wszystkie materiały dotyczące Billsona. W szczególności wykaz jego zarobków. Pomówię z nim jeszcze przed odjazdem. – Wstałem. – Do widzenia, panie Isaacson.

Zajrzałem do Hoylanda i poleciłem, aby sprawdził interesujące mnie dane, a następnie wyruszyłem na poszukiwanie wdowy Harrison. Okazała się dobroduszną, pełną macierzyńskich uczuć staruszką, wynajmującą pokoje, by dorzucić parę pensów do niewielkiej renty. Według niej Billson był bardzo miłym dżentelmenem. Nie przysparzał żadnych kłopotów w domu, ani nie dręczył jej sumienia upodobaniem do kobiet. Nie miała pojęcia, dlaczego odszedł i martwiła się, nie wiedząc co zrobić z jego pokojem, w którym wciąż znajdowało się sporo jego rzeczy.

– Przecież muszę z czegoś żyć – powiedziała. – W dzisiejszych czasach renta nie starcza na wiele.

Opłaciłem pokój za miesiąc z góry i obciążylem tym konto Franklin Engineering. Gdyby Isaacson to kwestionował, powiedziałbym mu coś do słuchu.

Przed odejściem Billsona nie zauważyła w jego zachowaniu niczego szczególnego.

– Nie, nic się nie zmienił. Owszem zdarzało się, że bywał czasami bardzo zdenerwowany, ale taką już miał naturę. Pozwalałam mu się wtedy wygadać i nie zwracałam na to specjalnej uwagi.

– W poniedziałek miał zjawić się w pracy, ale nie zrobił tego. Pani Harrison, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– W poniedziałek w nocy. Sądziłam, że był normalnie w biurze, nic mi nie powiedział.

– Czy nie wydawał się pani wówczas czymś rozdrażniony

– Tak, trochę. Mówił coś o braku sprawiedliwości nawet w sądach. Mówił, że bogate gazety stać na drogich adwokatów, więc taki biedak jak on nie ma żadnych szans. – Roześmiała się. – Tak się zdenerwował, że przewrócił słoik z klejem. Ale on właśnie taki był, panie Stafford.

– O! A cóż on robił ze słoikiem kleju?

– Wklejał coś do swojego albumu z wycinkami. Tego, w którym zbierał wszystko o swoim ojcu. Stale o nim wspominał, choć nie sądzę, żeby go pamiętał. To zresztą zrozumiałe, prawda? Był małym chłopcem, kiedy zginął jego ojciec.

– Czy kiedykolwiek pokazywał pani ten album?

– O tak, to jedna z pierwszych rzeczy jakie zrobił, kiedy wprowadził się tu osiem lat temu. W rok po śmierci mojego świętej pamięci męża. W albumie pełno było zdjęć wyciętych z gazet i czasopism, wszystkie dotyczyły jego ojca. Mnóstwo aeroplanów, takich staromodnych, jakie mieli w czasie pierwszej wojny światowej

– Dwupłatowców?

– Miały dużo skrzydeł – odrzekła wymijająco. – Nie znam się specjalnie na samolotach. Ale nie przypominały odrzutowców, jakie mamy teraz.

Wiele razy opowiadał mi o swoim ojcu, jakby był jakimś bohaterem. Po jakimś czasie przestałam słuchać i puszczałam to mimo uszu. Zdaje się uważał, że jego ojca oszukano, czy coś takiego.

– Czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, abym zobaczył jego pokój? Chciałbym rzucić okiem na ten album.

Zmarszczyła brwi.

– Ależ proszę, chociaż jak się nad tym zastanawiam, to nie wydaje mi się, żeby ten album tam był. Zawsze leżał na toalecie, a nie widziałam go tam przy sprzątanii.

– Mimo to chciałbym zobaczyć pokój.

Do zamieszkania było to raczej kiepskie miejsce. Nie tyle pozbawione wygód, co bardzo ponure. Meble były masywne, „edwardiańskie” oraz kanciaste z lat trzydziestych i czyste, choć wytarte, dywan. Sprężyny jękliwe zaprotestowały, gdy usiadłem na łóżku. Przyglądając się krzykliwej reprodukcji „Światła świata” Holmana Hunta, zastanawiałem się, dlaczego człowiek zarabiający osiem tysięcy funtów rocznie miałby mieszkać w takiej norze.

– Ten album – powiedziałem.

– Zniknął. Widocznie zabrał go ze sobą.

– Czy jeszcze czegoś brakuje

– Zabrał brzytwę i pędzel do golenia – powiedziała pani Harrison.

– I szczoteczkę do zębów. Parę koszul, kilka par skarpet i innych rzeczy. Nic więcej niż zmieściłoby się w małej walizce. Policja zrobiła już listę.

– Czy policja wie o albumie?

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy. – Nagle zdenerwowała się. – Myśli pan, że powinnam im była powiedzieć?

– Proszę się nie martwić – odparłem. – Ja im powiem.

– Mam nadzieję, że uda się panu odnaleźć pana Billsona –zawahała się.

– Nie chciałabym, żeby przytrafiło mu się coś złego. Doprawdy powinien już dawno ożenić się z kimś, kto by o niego dbał. Siostra przychodziła do niego co miesiąc, ale to przecież nie wystarczało.

– On ma siostrę?

– Nie taką prawdziwą, myślę, że to przyrodnia siostra. Ma inne nazwisko, a nie jest mężatką. Jakieś dziwne cudzoziemskie nazwisko, nigdy nie mogę go zapamiętać. Przychodzi i dotrzymuje mu towarzystwa wieczorem gdzieś ze dwa razy w miesiącu.

– Czy ona wie, że zniknął?

– Nie mam pojęcia skąd miałaby wiedzieć, chyba że policja jej powiedziała. Nie znam jej adresu, ale wiem, że mieszka w Londynie.

– Zapytam ich – powiedziałem. – Czy pan Billson miał jakieś przyjaciółki?

– Ależ skąd, proszę pana. – Przecząco pokręciła głową. – Rozumie pan, problem w tym, która chciałaby go poślubić. Nie żeby coś z nim było nie w porządku – dodała pośpiesznie. – Ale on w ogóle nie zabiegał o względy kobiet.

Idąc na posterunek policji, zastanawiałem się jeszcze raz nad tym wszystkim, co usłyszałem. Przypominało to epitafium.

Sierżant Kaye nie był zbyt przejęty.

– To żadne przestępstwo, jeżeli człowiek postanawia odejść – powiedział. – Gdyby chodziło o sześciolatek, wtedy poruszylibyśmy niebo i ziemię, ale Billson jest dorosłym człowiekiem. – Gwałtownie szukał jakiegoś porównania. – To tak, jakby powiedział pan, że mu współczuje, bo jest sierotą, no, wie pan co mam na myśli.

– Może i jest dorosły, ale z tego co słyszę, to niezbyt rozgarnięty.

– Czy ja wiem? – odparł Kaye. – Miał dobrą posadę we Franklin Engineering i niezłą pensję. Do tego trzeba czegoś więcej niż półgłówka. Poza tym dobrze dbał o swoje pieniądze przed i po zniknięciu.

– Proszę powiedzieć mi coś więcej na ten temat.

– No cóż, sporo zaoszczędził. Swój rachunek bieżący utrzymywał stale na wysokości mniej więcej miesięcznej pensji, ale w depozycie miał blisko dwanaście tysięcy funtów. W ubiegły wtorek rano, zaraz po otwarciu banku, podjął wszystko.

– A niech mnie kule biją! Ale chwileczkę, sierżancie, depozyty można podejmować tylko z siedmiodniowym uprzedzeniem.

Kaye uśmiechnął się.

– Chyba że przez ponad tuzin lat jest się solidnym, niesprawiającym kłopotów klientem, a później poprosi się dyrektora banku o przysługę – stworzył przede mną krynice swej mądrości. – Ludzie rzucają wszystko z różnych powodów. Jedni próbują uciec od kobiety, drudzy lecą za nią. Inni mają po prostu dosyć swego dotychczasowego stylu życia i odcinają się od niego bez hałasu. Gdybyśmy w każdym przypadku mieli wszczynać dochodzenie na pełną skalę, to brakłoby nam czasu na inne sprawy, a nicponie, których mamy gonić, mieliby niezły ubaw. On chyba nie popełnił żadnego przestępstwa, prawda?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A co na to kontrwywiad?

– Chłopcy od płaszczki i szpady? – w głosie Kaya brzmiała nutka pogardy.

– Uważają, że jest czysty, a ja uważam, że mają rację.

– Przypuszczam, że sprawdził pan szpitala?

– W obrębie dzielnicy. To działanie rutynowe.

– On ma siostrę, czy ona już wie?

– Przyrodnią siostrę – poprawił. – Była tu w ubiegłym tygodniu. Sprawiała wrażenie zrównoważonej kobiety, nie okazała żadnego zdenerwowania.

– Mógłbym dostać jej adres?

Zapisał go w notatniku i wyrwał kartkę. Gdy chowałem ją do portfela, spytałem:

– A nie zapomni pan o albumie?

– Wpiszę to do akt – odparł Kaye cierpliwie. Widziałem jednak, że nie przywiązywał do tego wielkiej wagi.

Zjadłem spóźniony lunch, po czym zadzwoniłem do Joyce, do biura.

– Dzisiaj już nie przyjdę – powiedziałem. – Czy masz tam coś dla mnie?

– Pani Stafford prosiła o przekazanie, że nie będzie jej dziś wieczorem w domu. – Głos Joyce brzmiał podejrzanie chłodno i beznamiętnie.

Miałem nadzieję, że udało mi się nie okazać irytacji. Powroty do pustego domu coraz bardziej mnie męczyły.

– W porządku. Mam dla ciebie robotę. Przejrzyj wszystkie niedzielne gazety z 2 listopada. Wybierz wszystko, co dotyczy człowieka nazwiskiem Billson. Najpierw spróbuj w prasie ogólnokrajowej, a jeśli Luton ma wydanie niedzielne, to też sprawdź. Jeśli nic nie znajdziesz, przeszukaj wszystkie dzienniki z ubiegłego tygodnia. Jutro rano chcę to mieć na swoim biurku.

– To chyba jakieś ćwiczenia karne.

– Jeśli musisz, to weź sobie kogoś do pomocy. I powiedz panu Mallesonowi, że spotkam się z nim o czwartej w Intern-City Building na zebraniu zarządu

3

Nie wiem, czy lubiłem Brintona czy nie. Trudno się było czegoś o nim dowiedzieć. Minimalnie udzielał się towarzysko i, patrząc obiektywnie, był jedynie niezwykle efektywną maszyną do robienia pieniędzy. Zdawał się rozumować inaczej niż reszta ludzi. Słuchał argumentów wysuwanych za i przeciw jakiemuś projektowi, które przedstawiał cały regiment zatrudnianych przez niego księgowych i prawników. Następnie podejmował decyzję. Często nie miała ona nic wspólnego z tym, co mu powiedziano, a może umiał dostrzec możliwości, których nikt inny nie widział. W każdym razie, niektóre z jego wyczynów zdumiewały tak samo, jak wyciągnięcie przez sztukmistrza królika z kapelusza. Wraz z upływem czasu

okazywało się, że to co zrobił miało logiczne uzasadnienie, lecz tylko on miał ten dar przewidywania. Dlatego też stał się bogaty.

Kiedy wraz z Charlie Mallesonem założyliśmy organizację, która później przekształciła się w Stafford Security Consultants Ltd., popadliśmy w normalne kłopoty dotyczące małe firmy z wysokimi aspiracjami. Pojawiła się masa różnych możliwości przechodzących koło nosa z powodu braku finansów. Lord Brinton przybył na pomoc ze sporym zastrzykiem kapitału, za który wziął dwadzieścia pięć procent naszych akcji. My natomiast przejęliśmy ochronę imperium Brintona.

Niepokoiliśmy się trochę, kiedy dokonywaliśmy tej transakcji, gdyż Brinton miał opinię spekulanta dokonującego podejrzanych interesów. Oświadczyłem mu stanowczo, że będziemy pracować zgodnie z prawem i zajmujemy się wyłącznie ochroną, a nie drugą stroną medalu – szpiegostwem przemysłowym.

Nieznacznie uśmiechnął się, odparł, że szanuje moją uczciwość i że mogę prowadzić firmę według własnego uznania.

Dotrzymał też słowa i nigdy się nie wtrącał, chociaż jego bystry, wspólni chłopcy sugerowali czasami, abyśmy poszli przez przepisy na skróty. Nie wrócili już, kiedy odesłałem ich do Brintona.

Szpiegostwo przemysłowe jest chorobą społeczną, czymś zbliżonym do choroby wenerycznej. Nikt nie zaprzeczy, że się przed nim zabezpiecza, lecz nikt nie przyzna się, że się nim zajmuje. Zawsze podejrzewałem, że Brinton, jak każdy bezzwzględny, finansowy sukinsyn, tkwił w nim po szyję. Wykorzystałem więc możliwości płynące z charakteru firmy, aby trochę powęszyć. Miałem rację. Zatrudnił kilka firm, które od czasu do czasu szperały dla niego. Jeśli o mnie chodzi, to nie miałem nic przeciwko temu tak długo, dopóki mnie o to nie prosił. Jednak wcześniej czy później musiał spróbować tego na którymś z naszych klientów, a wówczas wybiłbym mu to młotkiem z głowy, nie oglądając się na to, czy ma dwadzieścia pięć procent naszych akcji czy nie. Jak dotąd jednak do tego nie doszło.

Na spotkanie przybyłem nieco wcześniej i zastałem go w jego biurze mieszczącym się wysoko ponad City. Rozmiarami gabinet tylko nieznacznie przewyższał salę balową, a jedna ze ścian została w całości przeszklona tak, że mógł spoglądać na swoje pole działania. Nie udało mi się dostrzec żadnego biurka, ale do siedzenia za biurkiem zatrudnił innych ludzi.

Ze skrzypieniem uniósł się z fotela.

– Miło mi cię widzieć, Max. Patrz co sobie sprawiłem.

Miał nową zabawkę, ogień wesoło palący się w kominku wystarczająco dużym, by upiec wołu.

– Nie mam nic przeciwko centralnemu ogrzewaniu – powiedział. – Nie ma to jednak, jak dobry ogień do ogrzania takich starych kości, jak moje.

Zupełnie jakby coś żywego było w pokoju, dotrzymuje mi towarzystwa i nie odpyskowuje. Spojrzałem na kominek wypełniony węglem bitumicznym.

– Czy nie naruszasz w ten sposób przepisów o strefie bezdymnej?

Przecząco pokręcił głową.

– W komin jest wbudowany filtr elektrostatyczny. Nie ulatuje żaden dym.

Musiałem się uśmiechnąć. Kiedy Brinton robił cokolwiek, to robił to z klasą.

Jednocześnie stanowiło to kolejny przykład jego sposobu myślenia. Chcesz mieć ogień bez dymu? W porządku, zainstaluj zabawkę za kilkanaście tysięcy funtów, aby go zlikwidowała. I nie kosztowało go to zbyt drogo. Był właścicielem fabryki produkującej te rzeczy i przypuszczam, że w księgach firmy znalazło się to pod hasłem „Badania i rozwój – testowanie wyrobu.”

– Drinka? – zapytał.

– Tak – odparłem. – Dzień roboczy chyba już się skończył.

Nacisnął guzik obok kominka i nie wiadomo skąd pojawił się barek. Pokrytą bliznami twarz Brintona wykrzywił łobuzerski uśmiech.

– Posiedzenia zarządu nie uważasz za pracę?

– To raczej zabawa.

Nalał do szklanki miarkę Taliskera, dodał taką samą ilość wody Malverna i podał mi.

– Tak, nigdy nie żałowałem pieniędzy, które włożyłem w twoją firmę.

– Miło mi to słyszeć. – Pociągnąłem whisky.

– Osiągnąłeś w tym roku jakiś zysk?

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Musisz o to zapytać Charliego. On żongluje cyframi i pichci w księgach. – Wiedziałem co do pensa ile zarobiliśmy, ale stary Brinton lubił chyba szczyptę figlarności dodaną do interesów.

Spojrzał nad moim ramieniem.

– Oto i on. Wkrótce dowiem się, czy mam coś na uzupełnienie mojej emerytury.

Zabraliśmy się do roboty. Charlie przyjął drinka i zaczął wypluwać z siebie terminy: amortyzacja, przepływ gotówki, zysk i cały ten żargon, który można wyczytać na ostatnich stronach gazet. Jako sekretarz firmy i księgowy, zdwoił działania mające na celu utrzymanie kosztów własnych na niskim poziomie.

Posiadał na własność taki skrawek firmy, który czynił go odpowiednio skąpym i niechętnym tworzeniu administracyjnego imperium, które nie przynosiło zysku.

Można powiedzieć, że mieliśmy dobry rok i mogliśmy się opędzić od głodu kawiozem i szampanem.

Omawialiśmy plany dalszego rozwoju i możliwość wejścia na rynki Europy. W końcu doszliśmy do punktu „Inne sprawy” i zacząłem myśleć o pójściu do domu.

Brinton trzymał ręce na stole, pochłonięty studiowaniem plam wątrobowych.

– Panowie, jest jedna chmura na błękitnym niebie – powiedział. – Mam kłopoty z Andrew McGovernem.

– Z Whensley Group? – spytał Charlie, unosząc brwi.

– Właśnie – odparł Brinton. – Z sir Andrew McGovernem, prezesem Whensley Group.

Grupa towarzystw Whensleya stanowiła spory skrawek aktywów Brintona.

Jednak w tej chwili nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy posiadał udział umożliwiający ich kontrolowanie, czy też nie.

– O co chodzi? – spytałem.

– Andrew McGovern twierdzi, że system zabezpieczenia kosztuje go zbyt drogo. Mówi, że sam może to zrobić taniej.

Gorzko uśmiechnąłem się do Charliego.

– Jeżeli zrobi go taniej, to będzie do bani. W tych sprawach nie chodzi się na skrót i jest to robota dla ekspertów, którzy wiedzą, co robią. Jeżeli spróbuje zrobić to sam, to padnie na nos.

– Wszystko to wiem – powiedział Brinton, wciąż spoglądając na swoje ręce. – Ale jestem pod pewną presją.

– To pięć procent naszego interesu – odezwał się Charlie. – Nie chciałbym ich stracić.

Brinton uniósł wzrok.

– Nie sądzę, abyś je stracił, a przynajmniej nie na stałe.

– Czy to znaczy, że pozwolisz McGovernowi zrobić to, co chce? – zapytał Charlie.

Brinton uśmiechnął się, lecz nie był to szczerzy uśmiech.

– Zamierzam dać mu sznur, którego tak pragnie, ale szybciej niż się tego spodziewa. Z końcem tego miesiąca może przejąć odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo.

– Hej! – powiedziałem. – To już za dziesięć dni.

– Dokładnie. – Brinton stuknął palcem w stół. – Przekonamy się, jak dobrą robotę wykona w tak krótkim terminie. A w jakiś czas później szarpnę za sznur i zobaczę, czy wsadził szyję w pętlę.

– Jeżeli zabezpieczenie ma pozostać na dotychczasowym poziomie, to będzie musiał zapłacić więcej. To pole działania dla specjalistów, a dobrych ludzi nie ma na pęczki. Jeżeli uda mu się ich znaleźć, to będzie musiał dobrze zapłacić. Ale nie znajdzie ich. Sam natknąłem się na ten problem w trakcie opracowywania programu rozwojowego, a przecież ja wiem czego szukam, a on nie. Ucierpi więc na tym poziom zabezpieczenia. Powstaną w nim dziury wystarczająco duże, by przeszedł przez nie cały batalion szpiegów przemysłowych.

– No właśnie – zgodził się Brinton. – Wiem, że od czasu do czasu wypróbujesz sprawność własnego zabezpieczenia.

– To niezbędne – odparłem. – Zawsze robimy próbne biegi, żeby sprawdzić obronę.

– Wiem. – Brinton uśmiechnął się złośliwie. – Za trzy miesiące zaangażuję firmę z branży, nie waszą, celem przeprowadzenia operacji przeciwko ochronie McGoverna i zobaczymy, czy wystawił już głowę na tyle, aby można mu było ją uciąć.

– Masz więc zamiar nie tylko powiesić go, ale i ściąć – zakończył bez uśmiechu Charlie.

– Możemy też dorzucić do tego łamanie kołem i ćwiartowanie. Jestem już nieco zmęczony Andrew McGovernem. Dostaniecie ten interes z powrotem, a może i coś więcej.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Charlie. – Whensley Group to tylko pięć procent naszego interesu, lecz o wiele większa część dochodów. Wiesz, że nie uda się nam zmniejszyć aż tak kosztów własnych. Może to zaszkodzić naszym planom rozwojowym.

– Nic się wam nie stanie – odparł Brinton. – Obiecuję.

I tym musieliśmy się zadowolić. Jeżeli klient nie chce robić z tobą interesów, to nie możesz mu tego narzucać siłą.

Charlie przeprosił i opuścił nas, mnie Brinton zatrzymał jeszcze na chwilę.

Wziął mnie pod ramię i podprowadził do kominka, gdzie stanął, grzejąc sobie ręce.

– Jak się ma Gloria?

– Dobrze – powiedziałem.

Być może nie zadałem sobie trudu, aby zabrzmiało to dość przekonująco, gdyż zachnął się i spojrzał na mnie ostro.

– Jestem człowiekiem sukcesu – powiedział. – A to dlatego, że wycofuję się bez względu na koszty, gdy interes się psuje. Czy nie masz nic przeciwko tej drobnej radzie starego człowieka?

Uśmiechnąłem się.

– Najlepsze w radach jest to, że nie trzeba z nich korzystać.

Zjechałem jego prywatną windą na zatłoczoną ulicę, gdzie włączyłem się w tłum ludzi pospiesznie zdążających do domu po całodzinnej pracy. Ja osobiście nie spieszyłem się specjalnie, bo nie miałem domu, tylko kilka ścian i dach.

Zamiast tego poszedłem więc do klubu

4

Następnego ranka, po przybyciu do biura czułem się nieco lepiej. Po dłuższej przerwie odwiedziłem klub szermierczy. Dwie godziny ciężkiej pracy uwolniły mnie od frustracji. Podziały też na lekkie zgrubienie w pasie – skutek zbyt długiego przesiadywania za biurkiem.

Biurko jednak nie zniknęło, usiadłem więc za nim i rozejrzałem się za informacją dotyczącą Billsona, którą miała wyszukać Joyce. Nic nie znalazłszy poprosiłem ją do siebie.

– Nie dowiedziałaś się niczego o Billsonie?

Zatrzepotała niewinnie rzęsami.

– Niech pan zajrzy do korespondencji.

Kopertę z napisem „Billson” znalazłem na samym dnie. Szeroko uśmiechałem się do Joyce.

– Niezła próba, Joyce, ale sam ustalę sobie kolejność prac.

Z chwilą, gdy Brinton dał firmie zastrzyk gotówki, rozrosła się ona z niemal wybuchową siłą. Postanowiłem wówczas, że przynajmniej raz na pół roku poprowadzę jedną akcję w terenie, aby nie stracić kontaktu z ludźmi. Nawal pracy sprawił jednak, że wszystkie dobre postanowienia wzięły w łeb, skutkiem czego nie byłem już w akcji od piętnastu miesięcy. Może sprawa Billsona stanowiła okazję do sprawdzenia, czy ostrze nie uległo jeszcze stępieniu.

– Część mojej pracy przekażę panu Ellisowi – powiedziałem nagle.

– Nie będzie tym zachwycony – odparła Joyce.

– Gdyby potrafił mnie samochód i miałbym złamaną nogę, musiałyby ją przejąć w całości. Dobrze mu to zrobi. Przypomnij, abym z nim porozmawiał, gdy wróci z Manchesteru.

Joyce wyszła, a ja otworzyłem kopertę i wyjąłem czterostronicowy artykuł zawierający skrótowo naszkicowaną historię życia i epoki Petera Billsona, pioniera awiacji. A wszystko to w dodatku niedzielnym – natychmiastowa wiedza bez żadnego zachodu. Tytuł brzmiał:

„Dziwna historia «Odlatującego Petera»”. Całość zilustrowano niegdyś czarno-białymi fotografiami, zabarwionymi teraz osobliwymi odcieniami błękitu i żółci, żeby ożywić strony tego ponoć kolorowego pisma.

W skrócie przedstawiało się to następująco. Kanadyjczyk Billson urodził się w odpowiedniej chwili, bo w tym samym 1903 roku pierwszy aeroplan wzniósł się w niebo. Zbyt młody, aby odbyć służbę w czasie pierwszej wojny światowej, został wykarmiony opowieściami o walkach powietrznych na froncie zachodnim. Tak silnie podziałyły one na jego wyobraźnię, że oszalał na punkcie latania. Zapalił się też do konstruowania i w wieku 21 lat zbudował nawet własny samolot. Jednak niezbyt dobry, bo się roztrzaskał.

Nie miał szczęścia. Trwała już złota epoka awiacji i wybierano mu wszystkie rodzyńki z ciasta. Pionierskie lata wymagały pieniędzy lub sponsora z pieniędzmi, a on nie miał ani jednego, ani drugiego. Pod koniec lat dwudziestych Alan Cobham latał na Daleki Wschód, do Australii i Południowej Afryki. W 1927 Lindbergh przeleciał samotnie Atlantyki, a Byrd szczęśliwie zaliczył dublet nad biegunem północnym i południowym. Przyszły wczesne lata trzydzieste, Amy Johnson, Jim Mollison, Amelia Earhart i Wiley Post hurtem bili rekordy, a Billson nie miał szans, aby wziąć w tym udział i odnieść sukces.

Udało mu się to jednak w następnym etapie. Bicie rekordów to piękna sprawa, nadszedł już jednak czas sprawdzania tras, co miało poprzedzić fazę trzecią, to jest regularne loty komercyjne. Gazety wykorzystywały zainteresowanie społeczne, organizując długodystansowe wyścigi, takie jak Wyścig Powietrzny Anglia–Australia z 1934 roku, wygrany przez Scotta i Campbella-Blacka. Billson przyleciał jako drugi w wyścigu z Vancouveru na Hawaje i jako pierwszy w próbnym przewozie poczty na trasie Vancouver–Montreal. Stał się wreszcie bohaterskim, nieustraszonym lotnikiem. Wprost trudno uwierzyć, jakim nimbem otaczano tych pierwszych pilotów. Nawet współczesnym astronautom nie poświęca się tyle uwagi.

W tym mniej więcej czasie jakiś bystry dziennikarz nadał mu przydomek „Odlatujący Peter”, nawiązujący do dziecięcej wylizanki. Była to niezła reklama i Billson poszedł na ten żart do tego stopnia, że swemu nowo narodzonemu synowi dał na imię Paul, a w 1936, kiedy zgłosił się do wyścigu Londyn–Kapsztad, swój samolot Northrop Gamma nazwał „Flyaway”. Jako jeden z pierwszych został on w całości zbudowany z metalu. Wyścig zorganizowała gazeta, która z entuzjazmem waląc w bęben, oznajmiła, że wszyscy uczestnicy wyścigu będą ubezpieczeni od nieszczęśliwych wypadków na sumę ni mniej, ni więcej, tylko 100 000 funtów.

Wyścig rozpoczął się. Billson wylądował w Algierze dla nabrania paliwa i ponownie wystartował, kierując się na południe. Jego samolotu nigdy już nie widziano.

Helen – żona Billsona przeżyła naturalnie szok i upłynęło kilka tygodni, zanim wystąpiła do gazety o odszkodowanie. Gazeta skierowała ją do towarzystwa ubezpieczeniowego, które zwlekało i wahało się. W 1936 roku sto tysięcy funtów to była kupa pieniędzy. W końcu wyraźnie oświadczyło, że nie wypłaci żadnych pieniędzy i pani Billson wniosła sprawę do sądu.

Salę rozpraw ożywił świadek obrony – Południowoafrykańczyk nazwiskiem Hendrik van Niekirk, który zeznał pod przysięgą, że widział Billsona całego i zdrowego w Durbanie w cztery tygodnie po zakończeniu wyścigu. Wywołało to sensację i sprzedaż tej gazety niewątpliwie znacznie wzrosła.

Oskarżyciel starał się zbić zeznania van Niekirka, lecz ten nie ugiął się. Spotkał Billsona w czasie pobytu w Kanadzie i był pewien, że go rozpoznał. Czy rozmawiał z Billsonem w Durbanie? Nie, nie rozmawiał.

Wszystko to bardzo niepewne.

Sędzia zsumował wypadki i sprawę oddano ławie przysięgłych, która po długotrwałych naradach oddaliła żądanie powódki. A więc żadnych stu tysięcy funtów dla pani Billson, która w związku z tym niezwłocznie złożyła apelację.

Sąd apelacyjny obalił wyrok ze względów formalnych, mianowicie wskazówki sędziego głównego dla ławy przysięgłych były zbyt precyzyjne. Towarzystwo ubezpieczeniowe odwołało się do Izby Lordów, która nie chciała mieć z tą sprawą nic wspólnego. Tak więc pani Billson otrzymała swoje sto tysięcy funtów. Czy żyła odtąd długo i szczęśliwie, tego autor artykułu nie napisał.

Tyle, jeżeli chodzi o treść; ton artykułu to zupełnie inna sprawa. Napisały przez zręcznego dziennikarza, bardzo efektywnie podcinał reputację człowieka, który żywy, lub martwy, nie mógł się bronić. Zalaatywało od niego zawiścią samolubnego człowieka, któremu sprawiało przyjemność szkodenie ludziom lepszym od siebie. Jeśli ten właśnie artykuł przeczytał Paul Billson, to trudno się dziwić, że szlag go trafił.

Artykuł kończył się spekulatywną nutą. Zwróciwszy uwagę, że towarzystwo ubezpieczeniowe straciło na formalnościach prawnych, autor pisał:

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Billson przeżył katastrofę, jeśli taka miała w ogóle miejsce, i że Hendrik van Niekirk widział go w Durbanie.

Jeśli to prawda, a tak właśnie uważam, to popełniono oszustwo. Sto tysięcy zawsze i wszędzie jest sporą kwotą. A sto tysięcy w 1936 roku, to równowartość ponad 350 000 w naszej obecnej, zdeprecjonowanej walucie.

Jeżeli Peter Billson nie zginął, to ma obecnie 75 lat i spędził życie w luksusie. Ludzie bogaci są długowieczni i nie jest wykluczone, że on istotnie wciąż żyje. Być może przeczyta te słowa. Może nawet uznać je za oszczercze. Jestem gotów to zaryzykować.

Odlatujący Peterze Billsonie, wracaj! Wracaj!

Rozmyślałem nad tym paskudztwem, kiedy Charlie Malleson wszedł do biura.

– Przeprowadziłem wstępną analizę konsekwencji utraty Whensley Group – uśmiechnął się kwaśno. – Przeżyjemy to.

– Brinton – powiedziałem i odchyliłem krzesło do tyłu – jest właścicielem jednej czwartej naszych akcji. Zbyt wiele stawiamy na jedną kartę.

Chciałbym wiedzieć, czy bardzo by nas zabolalo, gdyby zupełnie się od nas odseparował. – Zawiesiłem głos, po czym dodałem: – Albo gdybyśmy sami odseparowali się od niego.

Charlie wpadł w popłoch.

– Chryste Panie! To tak, jak amputacja nogi bez znieczulenia.

– To może się zdarzyć.

– Ale dlaczego miałbyś się odseparowywać? Pieniądze, które wpompuwał w firmę, sprawiły, że osiągnęliśmy sukces.

– Wiem – odparłem. – Ale Brinton jest rekinem finansowym. Uzyskanie korzyści jest dla niego równie naturalnym odruchem, jak dla prawdziwego rekina pochwylenie smakowitego kęsa. Uważam Charlie, że jesteśmy narażeni na atak.

– Nie wiem co cię tak nagle przypiliło – rzekł płacziwie.

– Nie wiesz? – Nachyliłem się do przodu, a nogi krzesła opadły z głuchym stukotem na gruby dywan. – Ubiegłej nocy w trakcie rozmowy trwającej nie dłużej niż cztery minuty straciliśmy piętnaście procent interesu Brintona. A dlaczego? Aby mógł sobie pożyczyć Andrew McGoverna, który najwyraźniej wyłamuje się z szeregu. Tak przynajmniej twierdzi Brinton

– Nie wierzysz mi?

– Nie w tym rzecz, czy mówi prawdę. Chodzi o to, że nasz interes cierpi na prywatnych intrygach Brintona, niemających z nami nic wspólnego.

– Tak, rozumiem co masz na myśli – wolno powiedział Charlie. Spojrzałem na niego uważnie.

– Doprawdy, Charlie? Nie sędzę. Dobrze się jeszcze raz zastanów nad tym, co zaszło wczoraj. Manipulował nami akcjonariusz nieposiadający większości udziałów i okręcił nas sobie dookoła małego palca.

– Na miłość boską, Max! Jeśli McGovern nas nie chce, to nic na to nie poradzimy.

– Wiem o tym. Mogliśmy jednak zrobić coś, czego nie zrobiliśmy. Można było utrzymać Whensley Group zgodnie z kontraktem, który obowiązuje jeszcze przez prawie rok. Zamiast tego wszyscy zgodziliśmy się na posiedzeniu zarządu, aby wycofać się w ciągu dziesięciu dni. Zostaliśmy w to wrobieni, Charlie. Tańczyliśmy tak, jak nam Brinton zagrał.

Charlie milczał.

– A wiesz dlaczego na to pozwoliliśmy? Bo zbyt baliśmy się stracić pieniądze Brintona. Mogliśmy go przegłosować pojedynczo lub wspólnie, jednak nie zrobiliśmy tego.

– Nie – ostro powiedział Charlie. – Twój głos mógł go usadzić, masz 51 procent. Ale ja mam tylko 24, przy jego 25.

Westchnąłem.

– W porządku Charlie, moja wina. Ale kiedy ubiegłej nocy leżałem w łóżku, bałem się. Bałem się tego, czego nie zrobiłem. A największą obawą przejmowała mnie myśl o tym, jakim człowiekiem się stałem. Nie uruchamiałem tego interesu, żeby stać się czyjąś marionetką i dlatego właśnie twierdzę, że powinniśmy odciąć się od Brintona, jeśli to możliwe. Dlatego chcę, żebyś rozejrzał się za jakimiś innymi źródłami finansów. Jesteśmy teraz na tyle mocni, żeby je zdobyć.

– W tym, co mówisz, może coś być – powiedział Charlie. – Wciąż jednak uważam, że wściekasz się bez należytego powodu. Przesadzasz, Max. – Wzruszył ramionami. – Mimo to poszukam pieniędzy na zewnątrz, chociażby po to, aby uchronić cię przed szaleństwem. – Zerknął na wycinek z czasopisma leżący na moim biurku. – Co to takiego?

– Historia ojca Paula Billsona. Wiesz, tego księgowego z Franklin Engineering, który zniknął.

– Jak ta sprawa wygląda?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. Najpierw uznałem Paula Billsona za osobę, u której dewaluacja umysłu osiąga jakieś osiemdziesiąt pensów na funt. Jest jednak kilka rzeczy, które do tego nie pasują.

– No, teraz możesz się już przestać przejmować. Franklin jest częścią Whensley Group.

Zaskoczony uniosłem wzrok.

– Faktycznie – nie przyszło mi to do głowy.

– To, co masz, przekazałbym sir Andrew McGovernowi z najlepszymi życzeniami. Widziałeś go ostatnio?

Zastanowiłem się chwilę, po czym przecząco pokręciłem głową.

– Nie, Billson zniknął, kiedy wciąż jeszcze zajmowaliśmy się ochroną, a do końca miesiąca zostało jeszcze kilka dni.

– Masz stanowczo zbyt silnie rozwinięte poczucie etyki.

– Sądzę, że osobiście poprowadzę dalej tę sprawę – powiedziałem.
– Rozpocząłem ją, więc równie dobrze mogę też skończyć. Jack Ellis może mnie zastąpić. Czas już, aby został obarczony większą odpowiedzialnością.

Charlie z aprobatą skinął głową.

– Czy uważasz, że coś kryje się za zniknięciem Billsona? Oczywiście, patrząc z punktu widzenia ochrony Franklin.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Najprawdopodobniej okaże się, że uciekł z czyjąś żoną. Mam nadzieję, że Andrew McGoverna.